

665

Gra pozorów

Kurier rozmawia z ANNA
DYMNA, aktorką

* Czy aktor powinien
wiedzieć o człowieku wię-
cej niż ktokolwiek inny?

- Myślę, że my, aktorzy, chcąc nie chcąc, jeśli swój zawód traktujemy poważnie, to przez całe życie nie zajmujemy się niczym innym, jak zgłębianiem duszy ludzkiej. Grając postacią bardzo różne, w różnych sytuacjach życiowych, muszę się zastanawiać nad motywacjami ich postępowania. I to właściwie jest najciekawszą stroną tego zawodu. Kiedyś bardzo chciałam być psychologiem. Aktorką zostałam zupełnie przez przypadek, ale moje marzenia spełniły się w trójnasób, bo w sposób niepomiernie ciekawszy analizuję duszę ludzką. Grając jakieś stany emocjonalne - obserwuję człowieka bardzo wnikliwie. Niezwykłą rzeczą, jedną ze zdobyczy zawodu aktorskiego, jaką sobie najbardziej cenię, jest to, że staję się bardzo tolerancyjna. Grając kogoś, muszę starać się go zrozumieć, obronić, polubić. Zasadniczo twierdzą, że nie ma ludzi złych, dlatego zawsze w każdej postaci próbuję znaleźć coś dobrego. Z kolei, jak gram "dobrą" kobietę - to staram się pokazać, że nie ma ludzi tak do końca, wyłącznie dobrych. Przez całe swoje życie obserwuję i analizuję ludzi - to moja największa pasja. Tak naprawdę nie ma nic wspanialszego niż człowiek. Lubię ludzi - wszystkich - tych skomplikowanych i tych pozornie okrutnych - we wszystkich zawsze jest ogromna potrzeba dobra.

* Tak więc aktorstwo pa-
ni nie zniekształciło, a ra-
czej dopełniło?

- Tak, myślę, że raczej to drugie. Sądzę, że ten zawód cały czas bardzo rozwija, pod warunkiem, że ma się do niego zdrowy stosunek. Zniekształcić może nadmierny sukces i nadmierna porażka. Doznanie obu tych emocji jest równie stresujące. Jeśli przy okazji człowiekowi nie uderzy do głowy, to aktorstwo jest zawodem, który wykształca naprawdę piękne cechy. Nam, jak chyba nikomu innemu, zależy jak na własnym życiu, żeby dobrze zagrać rolę, żeby być najlepszym aktorem na świecie. Męczące jest, że stajemy się ludźmi publicznymi, co nie jest wcale takie proste. Ludzie nam często nie pozwalają być normalnymi, chcą w nas widzieć zupełnie kogoś innego niż naprawdę jesteśmy. Od samego początku największy wysiłek wkładałam w to (i wkładam nadal) - aby być właśnie zwyczajnym człowiekiem. Jeżeli mi się to udało, to podejrzewam, że jest to mój największy sukces życiowy. Największą tragedią dla aktora jest świadomość, że jest niepotrzebny. Ja tego na szczęście nie doznałam. Myślę, że mi się udało wyjść obronną ręką i ciągle jeszcze jestem nie zniekształcona - oczywiście mówię tu o stronie psychicznej.

* Jak jest ze starością w
aktorstwie?

- Upływ czasu to dodatkowe niebezpieczeństwo. Dla nas czas płynie inaczej. Gdybym wykonywała zawód księgowej, czy nauczycielki, to po prostu byłabym troszkę starszą księgową czy nauczycielką. W aktorstwie razem z moją młodością odchodzą role, które mogłabym zagrać. Starzeję się wielokrotnie - bo starzeję się ja i te postaci, które mogłabym ewentualnie

na scenie zinterpretować. Do tego też trzeba mieć rozsądny stosunek, żeby się nie załamać, a raczej zdać sobie sprawę z tego, że jestem już starą Julią, starą Ofelią, ale mogę być za to świetną nianią. W dodatku aktorzy starzeją się jakby publicznie. Kiedy idę ulicą, słyszę na



swój temat różne opinie: i te dobre i te złe, że jestem gruba, chuda, że dobrze czy źle wyglądam. I dalej muszę iść mile usmiechnięta. Publiczność jest różna - czasem nas rozpieszczą, zasypuje listami, ale też zawsze czegoś od nas żąda, zniechęca, czasem krzywdzi.

* Pani teatralni koledzy
twierdzą, że należy pani
do zdumiewająco bez-
konfliktowych, łagod-
nych osób. Jerzy Trela
kiedyś powiedział: "Ania
po prostu wie jak smaku-
je nieszczęście". Czy to
właśnie cierpienie nau-

czyło panią patrzeć na
świat z pobłażliwego dy-
stansu?

- Nie chcę już o tym mówić, ale rzeczywiście jest tak, że gdy człowiek mało przeżyje - dużo więcej od innych żąda, nie umie się cieszyć. Gdy byłam młodziutką, szczuplutką - po prostu o tym nie wiedziałam. Jeszcze wtedy nie miałam pojęcia, że jestem szczęśliwa. Nie można stwierdzić, że jest jasno, jak się nie zna ciemności. Ja sobie z tego nie zdawałam sprawy - szłam jak promień słońca przez życie, w ogóle nie wie-

dząc o tym, że jestem promieniem słońca. Dopiero, jak to wszystko zostało mi w pewnym momencie zabrane, zaczęłam pewne rzeczy doceniać. Ja dopiero teraz wiem, że jestem szczęśliwa, bo mam dwie ręce i nogi, a wcześniej nie przychodziło mi do głowy, że to już jest powód do szczęścia. Pewne przejścia i cierpienie - co w sumie jest nielogiczne - uczą człowieka optymizmu.

* Optymizm na przekór
wszystkiemu - to pani fi-
lozofia życiowa?

- Im więcej mnie los upokarzał i doświadczał - tym silniejsza i spokojniejsza z tego wychodziłam. Nabrałam odporności, mówiąc sobie po prostu: "Czy tak naprawdę ktoś może mi coś zrobić?". Dopóki człowiek sam sobie nie ma nic do zarzucenia - dopóty jest bezpieczny. Najwyżej może mnie ktoś okraść. Ale tak naprawdę mnie to nie interesuje. Jestem szczęśliwa, bo mam dziecko, mam dom, mam swoje ukochane książki, swoje ukochane role, ciągle czuję się potrzebna w swoim zawodzie, w którym pracuję już zresztą trzydzieści lat.

* W środowisku aktor-
skim dużo się kiedyś mó-
wiło o prześladowającym
panią pechu. Kilka wy-
padków samochodowych,
niezbyt miłych dla
ciała zdarzeń na planie,
pożary mieszkania. Swe-
go czasu wśród aktorów
krążyła nawet anegdotka
o pani pechu. Pozwoli pa-
ni, że ją przytoczę: Pod-
czas zdjęć do filmu
"Znachor" kręcono sce-
nę, w której grana przez
panią bohaterka wraz ze
swym partnerem (Toma-
szem Stockingerem) ma
wypadek motocyklowy.
W filmie wygląda to tak,
że oboje przeżoziółkowu-
ją w powietrzu nad po-
jazdem i pnem drzewa.
Kaskaderowi zastępują-
cemu T. Stockingera nie
się nie stało, natomiast
drugi złamał sobie oboj-
czyk. Dlaczego? Odpo-
wiedź jest prosta: bo był
w sukience Dymnej". Na-
uczyła się pani już żyć z
pechem?

- To właściwie on się nau-
czył, że już czas się ode mnie
odczepić. Stwierdziłam:

"Kochany, dosyć na tym, wy-
trzymałam już sporo i czas naj-
wyższy się rozstać". Na szczę-
ście - odpukać - pech już się
ode mnie odwrócił.

* Co jest dla pani naj-
ważniejsze w zawodzie?

- Niewątpliwie najważniejs-
sze jest to, aby praca, którą wy-
konuję na planie lub w teatrze,
po prostu sprawiała mi przy-
jemność i żebym kochała to, co
robię. Wtedy jestem szczęśli-
wa. Oczywiście nie znaczy to,
że gdy dostaję rolę wszystko
idzie jak z płatka - czasem mu-
szę płakać, czasem muszę bić
się o coś, czegoś się domagać,
straszenie mocować się z samą
sobą. Te wszystkie zabiegi
sprawiają mi jednak przyjem-
ność, bo unaczynają fakt, że
się do czegoś dąży.

* Kiedyś jedną z pani pa-
sji było malowanie róż-
nych dziwnych stworów,
zagadkowych postaci.
Nadal sięga pani po pę-
dzel?

- Całe życie coś tam sobie
bazarzę i rysuję - trudno to jed-
nak nazwać malowaniem, zre-
szta nie mam na to czasu. Zwyk-
le to robię, gdy jestem
bardzo zmęczona i nie mogę
spać. Te moje potworki to rod-
zaj odreagowywania na zawo-
dowe stresy. Ale chyba dobrze,
że nikt tego nie ogląda. Nawet
mój pies zawsze szczekał i był
na widok moich obrazków. Te-
raz, w kręconym w Elku filmie
Janusza Majewskiego gram
malarzkę i czasem sobie coś tam
na planie rysuję. Gdy reżyser
kiedyś zobaczył, co nabazgra-
łam, zdziwił się i stwierdził:
"Może lepiej idź do lekarza?".
Gdybym mogła być jeszcze
kimś w życiu - to chciałabym
bardzo zostać właśnie malarzką.

* Dziękuję za rozmowę.
Rozmawiała:

MONIKA ŻMIJEWSKA

Fot. Marek Dolecki